Cena pojedyńczego Nr. 50 gr.

Rok VI. Radom, październik 1929 r. Nr. 1.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA” GIM. PAŃSTW. IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

DROGA MŁODZIEŻY!

Wznawiamy wydawnictwo naszego miłego pisemka, tego organu, w którym zamieszczone być mają pierwociny naszych polotów i myśli twórczej, naszych zamierzeń i poczynań na ławie szkolnej.

Obecnie jeszcze wiele pozostawia ono do życzenia, początek bowiem zawsze trudny, lecz to pierwsze ziarno, które rzucamy teraz w świat, niech będzie pobudką do tem usilniejszej pracy, do tem liczniejszych poczynań twórczych, któreby wydawnictwo to, dziś jeszcze bardzo skromne, postawiły na odpowiednim poziomie i dostosowały do wszelkich wymagań ducha czasu.

WYDAWCY.

M. Bednarczyk.

Filomaci, Promieniści i Filareci.

Gdy spotykamy się ze słowami: filomata, filareta, myśl nasza jakoś mimowoli zwraca się do owych czasów, w których młodzież uniwersytecka w Wilnie organizowała się, aby szerzyć oświatę wśród wszystkich warstw, aby pracować nad sobą, pracować dla dobra ogółu i ojczyzny. Tam w Wilnie młodzież w życie wcielała swoje ideały, tam za nie cierpiała po więzieniach. A moc swoją czerpała z miłości ku ojczyźnie, z poświęcenia się pracy, z umiłowania ideałów, do których dążyła.

Czasy wtedy były ciężkie. Upadła nadzieja odzyskania niepodległości przez legjony, upadały nadzieje przywiązywane do Królestwa Kongresowego. Przychodzi okres ucisku polskości i wszystkiego co polskie. Należało szukać sposobów przechowywania języka, przechowania podań historycznych, ożywiania i utrwalania ducha poświęceń.

Młodzież silnie odczuwająca położenie kraju, pragnęła stanąć do współpracy nad odrodzeniem ojczyzny, pragnęła pracę tę rozpocząć od siebie. Nie można było robić tego jawnie, bo groziło to narażeniem się władzy rosyjskiej.

W roku 1817 szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkali się na uniwersytecie w Wilnie i zaprzyjaźnili: Tomasz Zan, Adam Mickiewicz, Józef Jeżowski, Franciszek Malewski, Jan Czeczot i Onufry Pietraszkiewicz. Ci ludzie postanowili się zorganizować, aby później wciągnąć do pracy wszystką młodzież uniwersytecką, 1-go października 1817 roku zakładają oni Towarzystwo Filomatów. Ci czterej ludzie, aby nie narazić siebie i innych na prześladowanie, wzięli za cel Towarzystwa, potrzebę kształcenia się, potrzebę nauki i oświaty.

Prezesem został Józef Jeżowski, sekretarzem Onufry Pietraszkiewicz.

Niedługo potem weszli do Filomatów jako członkowie: Jan Czeczot i Franciszek Malewski, później Kowalewski, Sobolewski, Budrewicz, Łoziński i inni.

Całe Towarzystwo urządzone i ustalone liczyło ponad 14-tu członków. Na zebraniach Filomaci odczytywali swoje utwory, opracowania i tłomaczenia, Mickiewicz — Odę do Młodości, która była programem działalności filomackiej, Grażynę i inne utwory;

Kowalewski i Malewski swoje pierwsze próby filozoficzne, filologiczne i prawne; Sobolewski, Budrewicz matematyczne, Zan i Czeczot literackie. Czytano recenzje prac kolegów, wiadomości naukowe o nowych dziełach, wynalazkach i postępie wiedzy. Wiadomości czerpano ze wspólnie prenumerowanych pism francuskich, niemieckich i rosyjskich. Udzielano sobie wiadomości o stanie szkół w kraju i o warunkach życia.

W próbach czytanych na zebraniach dbano o czystość języka i poprawość formy.

Po dwóch latach działalności koło Filomackie stawało się za ciasne. Filomaci postanowili utrzymać swoją organizację z prezydentami i radami na czele, a zakładać nowe związki pod swojem kierownictwem.

W roku 1819 powstaje Związek Przyjaciół, którego administratorem zostaje Pietraszkiewicz, a prezydentami kolejno Zan i Mickiewicz. W Związku Przyjaciół przygotowywano się do pracy społecznej, przez zbieranie .wszelkich danych o społeczeństwie.

W roku 1820 powstają Promieniści pod przewodnictwem Zana. Przed władzą nazywali się Towarzystwem Przyjaciół pożytecznej zabawy. Uzyskali oni od rektora zatwierdzenie swoich pietnastu prawideł ułożonych przez Zana. Promieniści kładli nacisk przedewszystkiem na doskonalenie się wewnętrzne.

Po odbyciu kilku zebrań za miastem, na których wesoło się bawiono i poznawano, rektor z obawy przed władzą cofnął owe 15 prawideł i Towarzystwo rozwiązał.

Jednak ożywienie w młodzieży tak było wielkie, że zbierała się w grupy, chodziła za miasto i tam śpiewała pieśni narodowe.

Spostrzegli Filomaci, że nie należy się dłużej ociągać. Postanowili założyć liczniejsze i tajne Stowarzyszenie. By zaś nie osłabiać siebie, postanowili zachować dawne Towarzystwo Filomatów, a równocześnie kierować nową organizacją.

Nowemu związkowi nadano nazwę Filaretów (miłośników cnoty), taka bowiem nazwa nie trąciła ani klubem, ani konspiracją.

W pierwszym artykule zastrzeżono, że Filareci nie będą się zajmowali polityką, lecz tylko nauką i oświatą, Stowarzyszenie podzielono na grona stosownie do gałęzi nauk, jakiej oddawali się członkowie. Na zebraniach odczytywano prace i toczono

rozprawy w przedmiotach literackich i naukowych. Gronami kierowali Filomaci, a żaden z Filaretów nie wiedział o istnieniu takiego Towarzystwa.

Zamyślano również wydawać przegląd literacki i naukowy, dużo bowiem prac i rozpraw było godnych drukowania.

Towarzystwo Filaretów rozwijało młodzież, nauki w uniwersytecie szły pomyślnie, dopóki policja moskiewska nie wpadła na trop związku. Uwięziono kilkudziesięciu Filaretów. Nowosilcow wyolbrzymiał stan faktyczny do odkrycia wielkiego spisku przeciwpaństwowego.

Śledztwo szło opieszale, a Filareci i ich przywódcy Filomaci cierpieli po więzieniach wileńskich za swoje ideały. Rząd rosyjski rozpędził Towarzystwo, ale nie zdołał zniszczyć jego ideologji. Przeszła ona w następne pokolenia młodzieży, która szła w ślady Filomatów i Filaretów, umiała pracować dla dobra ojczyzny, cierpieć dla niej i dla niej wszystko poświęcić.

Przyszły czasy represji, ucisku, czasy, w których nie wolno było być Polakiem, nie wolno było mówić po polsku. I znów młodzież opierając się na tradycji filomackiej i filareckiej tworzy potajemne związki, aby zachować język polski, poznawać historję narodową, poznawać wielkie dzieła Mickiewicza, Słowackiego i innych. Młodzież gimnazjalna zbierała się w grupy, aby pracować nad sobą, aby później móc pracować dla dobra ogółu i ojczyzny. A w pracy tej trzeba było zachować ścisłą tajemnicę, aby nie wpaść w ręce władzy.

Przeszedł ucisk, ustało prześladowanie, powstała Polska.

My, młodzież, pragniemy stanąć do współpracy dla dobra kraju. Dla nas niektóre ideały filomackie straciły już swoją wartość. Celem najpierwszym dla tamtej młodzieży była praca nad odbudową, nad odrodzeniem ojczyzny. Dziś my ojczyznę posiadamy, lecz chcemy ją mieć inną, w której nie byłoby żadnych krzywd społecznych, chcemy, by była wielką i dawała ludziom lepszą dolę. Organizujemy się, by iść za słowami Mickiewiczowskiej Ody. Chcemy pchnąć świat na nowe tory. Chcemy przygotować się do przyszłej pracy w społeczeństwie. Taki jest nasz cel.

Aby to osiągnąć zaczynamy od pracy nad sobą, od kształcenia siebie, jak to czynili Filomaci. A praca ta winna być owocną, jak owocną była praca Filomatów i Filaretów, która dała Polsce wielu dzielnych, zasłużonych i wielkich ludzi.

Boża dola.

Odeszli z pola ludzie
I Boga zostawili
W dziurawej świata budzie,
W deszczowej zimnej chwili.

Przydrożny pył na twarzy
Deszcz zmulił w brudne ścieki,
Jezusa nędzę waży.
Wschodzący wiatr daleki.

. . . .

Zmalały Boże bóle,
Odciekły zmęczeń strugi,
To wiatr w koronie czule
Wyłamał kolec długi.

L. M.

Zły uczeń.

Był uczniem szóstej gimnazjalnej. Nosił buty, które raz tylko były czarne, gdy je kładł na nogi, prosto od szewca. W zimie to było, pamięta. Nie był wtedy trzy dni w szkole, bo był bosy, został porządnie „zjechany" przez profesora za opuszczenie „bez dostatecznego powodu" lekcyj (bo, jak się chce uczyć, to musi mieć na to, to trudno), dostał dwóję z matematyki i kilka razy po dwójce ojcowskich rzemieni, że nie dość pilnie uczy się i nie słucha wykładów pana „profesora". Farbowana na niebiesko kurtka z takiemiż spodniami, nieco zakrótkiemi, i brudne paznogcie u wielkich, niezgrabnych rąk składały się na jego zewnętrzną osobę. Oczy mówiły o jego istności wewnętrznej. Jakaś żądza rzeczy wyższych, wieczne pragnienie czegoś nieziszczonego nigdzie dotąd i nigdy, całkowita beztroska o rzeczy zwykłe, szare, bezbarwne, o to wszystko, co jednak stanowi treść tego powszedniego życia, tej ciemnej, bezkresnej nocy życia. W przeszłych życiach ta dusza, co na świat przez oczy tego

chłopaka patrzyła, musiała być jedną z tych, na którą padł promień Prometeuszowego ducha — słońca, a która z jednego — miljon stworzyła promieni, drugie słońce, i niosła je tam, skąd wzięte było — do Boga.

Obecnie chodził do szkoły. Był wątły, bardzo wątły, pluł krwią (krył się z tem ze względu na ojca) i uczył się. — Nauczyciele byli innego zdania: „Nie uczy się, lecz skończony, niedołęga". Czasem usłyszał od nauczyciela „bałwan jesteś", ale przecież to tylko powiedziane tak, z przyzwyczajenia, ot, ludzka rzecz; on był człowiekiem — nauczyciel też.

Nigdy nie wiedział przyczyny gniewu profesora. Wychodził do odpowiedzi, już na kredyt słysząc niezbyt przyjazny, podniesiony głos, wracał na swe miejsce z dodatkiem jednego stopnia niedostatecznego z odpowiedzi i z większą rozpaczą w duszy, ale o tem nigdy nie mówił nikomu. Nie skarżył się. Tylko wątlał coraz bardziej, i bledszy się stawał, czasem jak giezło biały, lecz coraz bardziej się uczył, i coraz więcej niedostatecznych dostawał. Wiadomo, ludzka sprawiedliwość opaskę na oczach nosi.

Ale on cichy był i milczał, i do truchełki coraz się podobniejszy stawał. Rzadko mówił, wiele myślał. Nadchodziły wakacje, promocje; jeszcze decydujące odpowiedzi.

— Nie przyszedł do klasy...

— „Leń, bałwan, kombinator, krętacz, ale się nie wykręci, nie zda, zostanie, powinien zostać".

— Nie został!...

Na trzeci dzień przyszedł ojciec robotnik o biednej, ponurej twarzy i zawiadomił nauczycieli, co mu syna wychowywali, że tenże... zmarł... i stare, tępe oczy zapłakały.

Umarł, poszedł, nie został. Zdał, dostał zasłużoną promocję, ale już tam...

— bo tam — wiedziano kto i dlaczego.

— — — — — — — — —

Na trumnie wieniec i szarfa. Na szarfie: Kochanemu Koledze — Koledzy. *Eda.*

REFLEKSJE.

Z drzew liście lecą pozłociste, leci na ziemię złoty deszcz. Tęczowy dywan szeroko zasłany listeczki małe swem złotem tkają

Pajęczą siecią, nitką srebrzystą drzewa się łączą na długi sen.

...Jesień, jesień, jesień...

Szepcą, szeleszczą w ciszy, przy zorzy, tę wieść jesienną, żałobną. Chylą swe główki ostatnie kwiaty, ku ziemi chylą, już mrące, padają drobne płateczki kwiecia, ostatnim ście ą całunem...

...Lecą liście z drzew i lecą, na ziemię padają, padają i cichym szeptem, lotu szelestem ostatnią śpiewają pieśń.

Nokturn:

— „Zwiędłe, umarłe wichura popędzi ponura, porwie i pogna, złachmani i podrze, odbierze piękność i krasę, macierzy pozbawi, w bezdrożach porzuci, zniszczy, zniweczy, zatraci"...

Błyszczą purpurą zorzy odblaski i wszystko się mieni czerwienią, i każdy listek złoto-czerwony i każda gałązka z rubinu...

Liljowym cieniem pokrywa się niebo, błękit i czerwień przygasa. Zmierzch zwolna schodzi cichemi kroki, drzewa otula miękkiem ramieniem w ciemność i w ciszę, osłania — w ciemność spowite do snu się kładą, lecz.. czy wszystkie się zbudzą?

Cicho... Zmierzch przyszedł. Już pokrył ziemię czarną zasłoną i przyszła jesienna noc.

Słyszysz?

— Liście z drzew lecą... lecą... lecą.. i nie wrócą...

A my?

Eda.

MUZYKA.

W liljowych kiściach bzu,
W brylantach rosy,
W zieleni łąk wiosennych,
Gdzie kwitną wrzosy,
W cichym poszumie jodeł
I w tajnej gwarze borów,
Wśród szumu stawów srebrnych
I żabich rozhoworów
Słyszę muzykę.......
I w seledynach ranka,
Wśród kwiecia cudnej woni,
Łowię dźwięk każdy uchem
Strumienia drżącej toni.

Dajcie raz zagrać w życiu,
Wyśpiewać wszystko muszę!
Ach! jabym w tę muzykę
włożyła całą duszę.
Tęsknoty me i bóle w słowiczym oddam śpiewie,
Drgającym szronom — drżącym
Na białej brzozy drzewie.

„IRA.“

Zaszumiał las...

Zaszumiał las. .
I wezwał nas do czynu!
Bo wkrótce czas...
Iść w słońce... do wawrzynu!

Wśród słońca lśnień...
Zbratani przez zapały...
Wypełnić cele naszych śnień,
Ojczyźnie dodać chwały!

Bo błyszczy nam...
Wolności gwiazda święta,
A w święty chram...
Wylana krew zaklęta...

Nasz Orzeł mknie...
I świeci błyskiem stali...
Krew, stal relikwią dziś się zwie
Tych, co nam Polskę dali...

Więc idźmy wraz...
Świat zmienić, podnieść cnoty,
Jednością silni ruszym głąz,
A ocknie się z martwoty!

I wyjdzie z bram...
W jutrzenkę masa szara ..
A w pracy świecić będzie nam
Ojczyzna, Miłość, Wiara! *Jeżmaj.*



„Sztuka w sztuce“.

Wystawiliśmy w szkole dramat, napisany przez jednego z kolegów.

Nadszedł ostatni akt.

Tu już roli prawie że nie umiałem. Kiedy kurtyna uciekała do góry, to szybkim truchcikiem leciała za nią i moja pewność. Miałem wejść i zamordować nieszczęśliwego kochanka.

Z zaniepokojeniem nowicjusza zbrodniarza wkradłem się na scenę, a potem jak waleczna siekiera, co spada na bezbronny drewniany pniak, tak ja runąłem na rozmiłowanych w sobie kochanków.

Początek poszedł dobrze, ale tu z całą pewnością stwierdziłem, że nie wiem, co mam powiedzieć do przerażonych ofiar.

Stałem niezdecydowany.

Sufler trąbił rolę, że słychać było w ostatnim rzędzie. Moje ucho jednak nie chwytało tak głośnych tonów. Mimo wszystko postanowiłem działać.

Zginiesz, ryknąłem na całe gardło i chwilę słuchałem, jak głos zwycięsko się odbijał po sali.

Chwyciłem za szablę. Co to! Nie wychodzi! Oprócz roli zapomniałem jeszcze przypasać dobrej szabli; (Uwaga: Roli zapomniałem przypasać nie do boku, ale do pamięci.) moja była drewniana (nie pamięć, nie! Co za przypuszczenie. Szabla drewniana, szabla) i z tego rodzaju, że miała tylko rękojeść i pochwę.

Masz babo placek, pomyślałem, strojąc przytem straszną minę. Co począć?!! Żywy jeszcze kochanek stał nie mniej niż ja przerażony. Bał się, że może nie zostać zamordowany.

Naraz usłyszałem suflera.

O dzięki ci mój świetny słuchu! Słuchu tak czuły, jak czuły jest, kto? No wszystko jedno. Chodzi oto, że słuch był czuły, tak, bardzo czuły.

Sufler wołał. Uduś! Uduś!! Z całą pewnością uduś!!

Rzuciłem się na moją cierpliwą ofiarę. ale zapóźno, bowiem ta uprzedziła mnie trumiennem wołaniem: „Moje serce! Pęka mi, pęka!!!" i runęła, jak krótka na ziemię

Odetchnąłem.

Nie patrząc na krzyczącą z rozpaczy kochankę, nalałem sobie pełny kielich lemonjady i siadając na trupie zahuczałem.

„Oto spełniły się przepowiednie! Piję moje zdrowie, tutaj na nieżywym nieboszczyku!

Kurtyna opadła.

Odezwały się ulewne oklaski.

Zadowolony z siebie poszedłem razem z trupem do garderoby.

Leon.

ULICZNIK.

Deszcz mi napycha już wszystkie kieszenie,
Jak fryzjer trefi nieposłuszne włosy,
Wlewa za kołnierz bezczelne strumienie,
A ja się śmieję, śmieję w niebogłosy!

Woda w rynsztokach z porwaną gdzieś banią,
Jak chłop pijany tacza się i mruczy.
Mnie to raduje, boso biegnę za nią,
Gwiżdżąc na palcach, jak ulica uczy.

L. M.

Karnawał dla piekarczyków.

Zbuntowali się piekarczyki jednego rana.
Nie wiedzą, że mąka w niecki wsypana.
Pudrują się otrębami;
Wycierają fartuchami;
Do pracy wrócicie sami
Niedługo.

W żarze pieca chleb czarny się pali,
Dziś karnawał, wam zachciało się bali.
Rzuciliście wyrabianie klucha,
Spodobała wam się tępa dziewucha,
Wyrośnięta, rumiana, choć sucha
Z miłości.

Wytrzepani, wystrojeni i czyści
Rozrzucacie legowiska swe z liści,
Bierzecie pochowane pieczywo,
Wyjmujecie skradzione paliwo,
Zdobywacie pieniądze na piwo
I wódkę.

I ruszyła się klamka od wejścia,
Nie ma czasu nawet do rozejścia,
Złapano was na kradzieży,
Rozgniewany piekarz bieży —
O — napewno i uderzy
Po karku.

I wyrzucił wszystkich chłopców na ulicę,
Piec w wypiekach przyczernił swe lice,
Na czas jakiś założył żałobę.
Może będzie ją nosił i dobę;
Ułożyły swe usta w podkowę.
Rogalki.

H. Paluszyński.

Ot—tak sobie!

Siadłem, ot — tak sobie, żeby coś napisać! Do „Filarety“ naturalnie! Bo i cóż mam robić, w szkole spotykam kolegę, na wszystkie świętości zaklina mnie: „ty tam“ mówi „napisz coś do „Filarety“. Ba! Łatwo powiedzieć: napisz! Napisać trudniej. Namyślam się, on dalej nalega: „nie żenuj się“ powiada „przecież wiem, że dobrze piszesz!“. Lep działa! Mile połechtany w swej dumie autorskiej namyślam się jeszcze, w końcu ustępuję, obiecuję chociaż lekko, że coś tam napiszę. Uwolniony wreszcie od natręta wychodzę na korytarz. W drzwiach wpadam na kogoś. Ach Tadzik! Serwus chłopcze! Jak się czujesz, co porabiasz? pytam „Doskonale“. „Wiesz cudownie się złożyło, że cię spotykam właśnie mam do ciebie interes“, woła. Do mnie? Interes? Patrzę na niego nic nie rozumiejąc, a ten z tajemniczą miną odciągnąwszy mnie na bok powiada szeptem „napisałem wiersz“? Hm... wiersz! powiadam. Do „Filarety“ dodaje z pośpiechem, widząc moją zdziwioną minę. Acha, napisałeś wiersz. Zaczynam pojmować sprawę. I znowu mi wchodzi w drogę „Filareta“, pauza się kończy, zaraz będzie łacina, nic nie umiem, chciałem trochę powtórzyć, a tu słuchaj uważnie i pochwalaj rymy, bo Tadzik, jak wpadnie w zapał, to nie przerwie, dopóki nie skończy. Chwalę więc wiersz cały chcąc się prędzej pozbyć przyszłego poety. Odchodzi nareszcie jeszcze raz zapytawszy czy dobry. Zrozpaczony rezygnuję już z dwuminutowego spaceru po podwórzu i wracam do klasy, aby coś nie coś powtórzyć z łaciny. W jednym końcu sali kilku pochylonych kolegów słucha uważnie jednego czytającego. Pewno tłumaczenie myślę. Zbliżam się. Widząc mnie czytający przerywa i zwraca się: „kolego posłuchajcie łaskawie mojej nowelki, którą napisałem. — — Do „Filarety!“ pewno, przerywam gwałtownie. „Naturalnie“ odpowiada. Zdębiałem. Odejść nie wypada... a moja łacina... Drugi dzwonek. Zdecydowy na wszystko opuszczam ławkę, idę na miejsce, chwytam książkę, odnajduję zadaną lekcję. Z biciem serca nadsłuchując, czy nie usłyszę swego nazwiska, przewracam kartki powtarzając rzeczowniki, czasowniki, przymiotniki, deklinacje, konjugacje i inne acje, i patrzę na zegarek licząc każdą przeszłą sekundę. A te lecą i lecą. Zaczynam mieć nadzieję a może mi się uda? Jeszcze dwa-

naście minut, jeszcze dziesięć! Nagle! słyszę nazwisko, jestem zgubiony! Wstaję i z miną skazańca czekam na pytanie. Co wiesz o „verba inhoativa“? pada nareszcie. Co wiem? Właśnie wiem, że nic o nich nie wiem. Z rozpaczą rozglądam się dokoła, wzrok mój zdaje się wołać „pomoc dajcie mi rodacy“. Nadstawiam uszu, nic! Piorunujący wzrok profesora hamuje popędy dobrych serc moich kolegów. Stoję więc milcząc, a nuż będzie dzwonek, myślę. Krótkie siadaj! Już przepadło! W chwili, gdy profesor postawił nd („nadzwyczaj dobrze“) dzwonek. Koniec lekcji, ubieram się i zmartwiony niepowodzeniem wychodzę na ulicę. Zaczerpnąwszy pełną piersią powietrza, zadowolony, że już koniec lekcyj, idę wolno w stronę domu. Myśląc o swoich dzisiejszych niepowodzeniach nawet nie zauważyłem, że Jurek, mój serdeczny przyjaciel od paru chwil idzie ze mną, przyglądając mi się ironicznie. „Czego się martwisz“? powiada nagle „zapomnij o dwójce a posłuchaj lepiej, co ci przeczytam. Tu wyjmuje arkusz, najpierw jeden, potem drugi, potem trzeci! Nic nie rozumiem, on czyta, słucham wreszcie znudzony pytam: słuchaj Jurek, co to jest właściwie? Spogląda na mnie oburzonym wzrokiem: „jakto, nie wiesz? powiada „przecież to sprawozdanie do „Filarety“. Ciarki po mnie przeszły. Czy oni mi dziś z „Filaretą” spokoju nie dadzą? Szczęściem już mój dom tuż. Pożegnaliśmy się czule, zapewniłem, że sprawozdanie doskonałe i z radością wpadam w bramę, na schody i... prosto w objęcia mojej siostrzyczki, już czwartoklasistki, która właśnie schodziła ze schodów. „Jak to dobrze, że Cię widzę" mówi, „chciałam się właśnie ciebie spytać coś napisał do „Filarety“, bo wiesz — ja takbym chciała być tam opisaną". Ręce mi opadły, znowu „Filareta", cóż mam powiedzieć, dobrze. Siedzę więc teraz i łamię sobie głowę, żeby coś napisać, cokolwiek, choćby, ot tak sobie.

F. L.

Kronika z miesiąca.

(HUMOR).

NADEJDĄ...

W naszej szkole władze
Okrutnie się biedzą,
Lecz o stałym planie
Nic jeszcze nie wiedzą.

Radę więc podaję
(I mam chyba rację),
Śpieszcie się tak dalej!
— Nadejdą wakacje. TA—RO.

Krawaty.

MOTTO: Niema złego coby
na dobre nie wyszło.

W naszej szkole strasznie
Zwalczają krawatki
Nakładając na nie
Ogromne podatki.

Od krawatu jeden,
Od muszki dwa złote
I na Bratnią Pomoc
Daje się tę kwotę.

Dobry jest uczynek
Takie kary płacić,
Można Bratnią Pomoc
„Pierunem" zbogacić.

Nośmy więc krawaty!
(Jest to w naszej mocy)
A ufundujemy
Sklep Bratniej Pomocy.

TA—RO.

Na drogę!

Każdy przez życie musi iść przebojem!
Choćby z krwawem sercem, choćby z trudu znojem
Przyszło z niem się składać...
Nie powinniśmy upadać!

Z wiarą i nadzieją przez zawodów rój
Idźmy mężnie naprzód, w krwawy życia bój!
W cel nieba wpatrzeni, podążajmy doń,
A laur nagrody uwieńczy nam skroń.

Z początkiem.

Pójdź Pieśni z nami
Przez wielkie życia wyboje,
Prowadź nad przepaściami,
Osładzaj trudy i znoje.

Niech pracy nowej początek
Nowych nam członków przysporzy
I filareckich pamiątek
W pisemku naszem pomnoży.

ZE SPORTU.

Zawody lekkoatletyczne i piłki siatkowej, urządzone w dniu 28.IX 1929 r. na stadjonie 72 p. p. dały następujące wyniki:

Bieg 100 mtr. Po czterech przedbiegach zwycięża L. Majewski w czasie 12,7 sek.

Bieg 800 mtr. I — L. Majewski 2 m. 19.6 s. II — St. Dziedziul, III — Heller.

Sztafety 4 × 100 o mistrzostwo klas:
I-sze — klasa VIII, II-gie klasa VII.

Skok w dal: I-szy L. Majewski 5,005 mtr., II-gi Wł. Trojan, III ci T. Pióro.

Skok wzwyż: I-szy Kantorski 1,55 mtr., II-gi Kiełbasa 1,45 mtr.

Rzut kulą: I-szy L. Majewski 9,48 mtr , II-gi St Gierycz 9,19 mtr.

Rzut dyskiem: I-szy L. Majewski 27,20 mtr., II-gi M. Kiełbasa 26,41 mtr.

W siatkówce — Mistrzostwo zdobyła klasa VIII.

Organizacja zawodów, spoczywająca w doświadczonych rękach p. prof. Morawskiego, pp. studentów: Prendowskiego, Stępniewicza, braci Luciaków, Mieszkowskiego i plutonowego szk. ofic. artylerji Hieronima Myśliwskiego, wzorowa.

Gry i zabawy popołudniu.

Poniedziałek -- VII i VIII.
Wtorek — — I.
Środa — — III.
Czwartek — V i II.
Piątek — — IVa i IVb.
Sobota — — VI.
Hufiec szkolny we wtorki.

Redaktor odpowiedzialny ANTONI SURMAN — Moniuszki 5.

Zakłady Drukarskie Sejmiku Radomskiego i S-ki 29